Rok 1898. Lwów, dnia 5. września. Nr. 35.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

STANISŁAW WOMELA

BAJKA DLA STARYCH DZIECI.

Na piaskach Egiptu, znajduje się mocno nadmurszały posąg, przedstawiający pół kobiety a pół lwicy. Ludzie zwą go sfinksem a choć w gruncie rzeczy nie jest niczem innem jak tylko olbrzymią bryłą kamienia, ludzie przypisują mu ogromną, tajemniczą mądrość. Wie on podobno o wszystkiem ale nie chce niczego nikomu powiedzieć. Zresztą ma to być nawet niebezpiecznie pytać go o cośkolwiek.

Pewien egipcjanin, który za młodu dużo broił a za to bardzo mało myślał, kiedy mu sił zabrakło do brojenia, poczuł, że stoi wobec wielu rzeczy, które mu są kompletnie niejasne, a wyjaśnienie ich bardzo mu leży na sercu. Poszedł więc jednego wieczora przed sfinksa i począł go pytać, coraz natarczywiej, coraz goręcej. Ale kamienne rysy posągu pozostały nieruchome. Słońce zaszło za piramidy już dawno, księżyc wytoczył się na niebo, a egipcjanin błagał i błagał aż zesłabł. Smutny powrócił do domu, ale postanowił być cierpliwym i cierpliwością zwyciężyć upór głazu.

Przyszedł nazajutrz, przychodził i następnych wieczorów, ale błagania jego pozostawały bez skutku. Myśląc, że pyta za drobiazgowo lub o rzeczy zanadto osobiste, zmniejszał szereg zapytań starając się zarazem zamykać w nich coraz to więcej. Tak zwolna zlały się wszystkie pytania w jedno, całkiem nieosobiste i ogólne. A kiedy mimo to nie otrzymywał na nie odpowiedzi, jął prosić sfinksa by mu cośkolwiek powiedział. Nie chciał już rozwiązania zagadki własnego ni cudzego bytu, chciał już tylko usłyszyć głos sfinksa.

Bywały chwile, że egipcjanin tracił cierpliwość z oburzenia na bezwzględność głazu. Wówczas zrywał się, przeklinał sfinksa, pluł nań i drwił zeń lub przybierał wobec niego nieprzyzwoite pozy. Potem uciekał i przyrzekał sobie już więcej nie przychodzić. Mimoto po każdym takim wybuchu wracał nazajutrz, przepraszał sfinksa za wybuch i błagał na nowo. Żal mu było i czasu strawionego, i bał się żeby nie przerwał błagania właśnie wówczas kiedy sfinks miał już zamiar przemówić. Zwolna też wybuchy gniewu powtarzały się coraz to rzadziej, aż nareszcie ustały zupełnie.

Tak mijały dni tygodnie i lata. W trakcie ich zamarła zwolna nadzieja usłyszenia czegokolwiek, ale egipcjanin jakby już o niej zapomniał. Przyzwyczaił się już do tych swoich cowieczornych zawodów tak, że przestały mu być zawodami. Stracił poczucie wyjątkowości swojego położenia i przywiązał się doń. Dawne błagania straciły swoją treść. Gorąca prośba zamieniła się w lament krzykliwy, namiętny szept w mechaniczne odmawianie słów raz wyuczonych. I tak — z dawnych modłów zrobiła się sucha i bezmyślna formułka.

Z czasem doszło wreszcie do tego, że egipcjanin począł z niechęcią myśleć o tem żeby sfinks przemówił. Te wieczory do których się tak przyzwyczaił, te błagania przy zachodzącem słońcu, mroku nocnym i świetle księżyca, musiałyby ustać gdyby się to stało, bo straciłyby swoją istotną ponętę. To też podczas modłów rzadko egipcjanin podnosił oczy na sfinksa i tylko ukradkiem, jakby w obawie aby nie zobaczył jakiego ruchu w jego twarzy. W ten sposób możliwość tego co niegdyś było jego pragnieniem stała się z biegiem czasu źródłem trwogi.

Zwolna jednak i to nawet ustało. Egipcjanin uspokoił się nabrawszy pewności, że sfinks nie przemówi. Postarzał się, przygarbił i posiwiał, zrozumiał, że ślepnie i głuchnie, ale nie martwił się tem. Cieszył się tem nawet skrycie, że już niebawem całkiem zniknie niebezpieczeństwo ujrzenia jakiejś zmiany na sfinksie lub usłyszenia głosu jego. W ten sposób skończy się raz na zawsze możność przerwy w tych błagalnych wieczorach, które stały się teraz całą treścią jego żywota.

Aż raz, w dzień setnych urodzin egipcjanina, stało się coś dziwnego. Kończył właśnie zwyczajną wieczorną modlitwę, gdy na niebo wysunął się księżyc a przelatujące szybko obłoki, to przysłaniały to odsłaniały jego światło. Promienie księżyca ślizgały się po twarzy sfinksa tu i ówdzie a w tem ruchomem świetle wydało się nagle egipcjaninowi, że się twarz sfinksa ożywia. Kamienne zmarszczki poczęły się przedłużać i kurczyć, chropawa powierzchnia policzków jęła się zagłębiać i wznosić, aż ułożyły się w jakiś pogardliwy grymas. Zwolna rozsunęły

się w uśmiechu zwietrzałe wargi, z po za nich ukazały się szczerby spróchniałych zębów, a po za nimi w czarnej czeluści poruszał się olbrzymi, sztywny, kamienny język.

Zadrżał egipcjanin na ten widok i skamieniał na chwilę. Sfinks przemówił widocznie. Starzec uczuł na sobie najwyraźniej chłód oddechu, wychodzącego z kamiennej gardzieli. A strasznym musiał być głos sfinksa, bo aż palmy i kaktusy poblizkie zatrzęsły się pod jego naporem i chwiały się długo. Ale egipcjanin w którym po chwilowym przestrachu dawne pragnienie odżyło na nowo, napróżno usiłował ułowić choć nadrobniejszy dźwięk z opowieści sfinksa. Przewiercał sobie uszy chudymi palcami i przecierał oczy aby się przekonać czy nie śni. Nie słyszał nic ale i nie śnił. Sfinks mówił ciągle, tylko twarz jego z pogardliwej stawała się coraz to bardziej obojętną. Wreszcie, gdy chmury całkiem uciekły z błękitu, ujrzał egipcjanin twarz sfinksa taką samą jaką była wówczas, gdy słuchała pierwszej jego prośby.

Tu rozpacz porwała egipcjanina z niepewności czy słuch go zawiódł, czy wzrok własny urządził sobie z niego igraszkę. Począł płakać, tarzać się po ziemi i kaleczyć własne ciało... Nazajutrz, kiedy znaleziono tuż przy pazurach sfinksa ciało egepcjanina pokryte ranami, uwierzono, że stało się coś nadzwyczajnego...

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela

Ciąg dalszy.

Ciotka doprawdy miała wszelkie do zaniepokojenia powody. Znała upór i bezwzględność Malwiny; nieznała może również dobrze Albina, bo nie miała sposobności poznać go z paru wizyt konwencjonalnych, jakie składał dawniej, starając się o Malwinę, — ale wyobrażała sobie całą grozę położenia i skandalu, mogących wyniknąć ze stosunku jej siostrzenicy z żonatym człowiekiem. Czuła, że strofowaniem i oporem, tylko pogorszyć mogłaby całą sprawę, próbowała więc drogą perswazji dojść do porozumienia, a przynajmniej wyciągnąć z Malwiny, jak daleko zaszło w jej stosunku do Albina.

Udała tedy, że nie wzrusza, ani nie zraża jej wykrzyknik, z którym się zdradziła Malwina i który najwłaściwiej jej uczucie dla Albina określał, i przybierając ton obojętny, spytała.

— Dobrze więc, moja droga, widzisz jak jesteś niekonsekwentną? Jeżeli — jak powiadasz, a o czem ja się dopiero teraz dowiaduję, Albin wyznał ci swoją miłość, to doprawdy nie rozumię, za co go masz nienawidzieć; chyba że cię swem wyznaniem — chytrze dodała — obraził? a! w takim razie słuszny byłby gniew twój na panicza, który -- żonaty — ośmiela się pannie afekta swe prawić.

Malwina spojrzała na ciotkę ciekawie, nie mogąc sobie zdać sprawy, czy drwi sobie z niej czy udaje, że się prawdziwego stanu rzeczy nie domyśla, czy też poprostu chce ją w ten sposób wyegzaminować i wybadać. Ale poczciwa stara panna, potrafiła tak zręcznie twarz ułożyć, potrafiła patrzeć tak naiwnie, że Malwina teraz dopiero nie wiedziała, kto jest właściwie w tym razie badającym, a kto badanym. Była teraz sama w kłopocie, co ciotce odpowiedzieć.

— Jakiż jest tedy, moja droga, powód nienawiści twej dla pana Albina? — spytała ciotka ponownie.

Tymczasem Malwina była już panią samej siebie i ze spokojem chłodnym, który nawet ciotkę zadziwił, odparła:

— Mówiąc w ogóle o nienawiści, o uczuciu, które przecież może się tak dobrze jak miłość, a może i równolegle z nią, zrodzić w sercu kobiety, nie miałam na myśli pana Albina. Za cóż wreszcie — dodała z przekąsem — miałabym, mogłabym go znienawidzieć? — Niewiem także — głosem lekko drżącym wyrzekła — za co bym i dlaczego go pokochać miała? Dlatego nie rób sobie z tego nic cioteczko, tak jak ja sobie z tego nic nie robię. Ale niewiem także, dlaczegobym się nie miała — wtrąciła śmiejąc się — zabawić trochę, gdy się trafia niewinna sposobność?

— Niewinna? — zapytała ciotka, robiąc osobliwszą minę. — Wybacz Malwino, ale przecież nie możesz nazywać niewinną zabawką — daruj mi wyrażenie — bałamucenie cudzego męża.

— Alboż ja go bałamucę? — znowu śmiejąc się odparła — czy ciągnę go gwałtem do siebie, czy robiłam mu kiedy jednem słowem jakie nadzieje? — Czy mogłam go, czy wypadało mi go od drzwi odprawić, gdy się zaprosił z wizytą?

Rozumie się, że Malwina dobrze wiedziała, iż cała sprawa z wymianą listów, była dla ciotki zupełną tajemnicą, równie jak tajemnicą dla ciotki była ta okoliczność, że Albin przyszedł na wezwanie i za przyzwoleniem Malwiny. Była tedy pewną, że tem wprowadzi w błąd starą ciotkę i że ta ani się domyśli, że w tej całej sprawie jej siostrzenica właściwie pierwszy krok zrobiła. Gdyby była o tem wiedziała, byłaby się nie potrzebowała bawić w dyplomację, lecz wystąpićby musiała stanowczo. W tym składzie rzeczy, musiała chcąc nie chcąc, za dobrą monetę przyjmować słowa Malwiny i nie mogła apodyktycznie zganić ją za to, że jako pani domu przyjęła wizytę Albina.

Ale przebieg wizyty i treść długiej młodych ludzi ze sobą rozprawy miały dla starej cioci pozostać tajemnicą, bo ani się nie kusiła o wydobycie ze siostrzenicy tego, czegoby jej przebiegła panna sama nie powiedziała. Malwina czuła to i domyślała się, że ciotka chce ją wybadać, że chce mieć pewność, czy ona doprawdy kocha Albina; a uświadomienie takie ciotki z jej strony a w dalszym ciągu jej zabiegi, ażeby

przeszkodzić temu, mogłyby sprowadzić różne zawikłania, których Malwina, tak ze względu na stosunek do ciotki, jak i ze względu na zamierzoną nad Albinem zemstę, a może bardziej nad Niną, — chciała uniknąć, bo to mogłoby jej plany zupełnie pokrzyżować i zniweczyć.

Udawszy tedy, że cała ta, niepotrzebnie wywołana sprzeczka, nudzi ją i nuży, że wreszcie jest jej zupełnie obojętnym i Albin i jego żona, że w końcu cały świat nic ją nie obchodzi, a jej namiętne wyrażenie się o nienawiści, było poprostu tylko wypływem alteracji i rozdrażnienia nerwów, potrafiła uśpić niepokój ciotki, która idąc do swego pokoju na spoczynek, uspokoiła się z obawy o siostrzenicę, którą serdecznie kochała, choć głos wewnętrzny jej mówił, że nie wszystko w tem jest taką istotną prawdą, jak jej Malwina przestawiła, zapewne dla uspokojenia jej. Co jednak mogła biedna stara poradzić na to, gdyby upór Malwiny nie liczył się ani z opinją świata, ani sumieniem. Poczciwe serce starej panny, które bardzo dawno z miłością nic do czynienia nie miało, która w dodatku nigdy pojęcia nie miała o gwałtownem, namiętnem, uiszczącem wszystko uczuciu, a która co najwyżej rezygnację stawiała jako najwyższy szczyt poświęcenia, — nie przypuszczało nawet, ażeby jej Malwina była skłonną dla zadowolenia osobistej, czy to miłości czy zemsty, podeptać nielitościwie i bezwzględnie serce i szczęście, zniszczyć życie drugiej kobiecie, która jej nigdy w życiu nic złego nie zrobiła.

Tego się po Malwinie nigdy nie spodziewała; odganiała nawet przypuszczenie o tem i myśli, odmawiając, gdy się do łóżka położyła, specjalną modlitwę na intencję nawrócenia i przemienienia błądzącej na rozdrożu Malwiny. Stara panna uważała to za najlepszy środek... Nie znała jeszcze dobrze, choć znała od małego dziecka — swojej Malwiny.

Malwina nie miała w sobie materjału na zupełną emancypantkę, zwolenniczkę wolnej miłości, stającej do otwartej walki z całym „zacofanym“ światem. Była na to za młodą i za piękną. Nie miała także nic a nic z tego, coby znamionowało pokutującą za grzechy Magdalenę, choćby w jak najdalszej przyszłości. Skłaniała się raczej do pierwszego, ale dbająca ogromnie o pozory, lubiła tak wszystko urządzać, aby i swoje zachcianki zadowolić i ludziom nie dawać tematu do obmowy.

Malwina zdawała sobie jasno sprawę ze swego postępowania. Nie szło jej już teraz bynajmniej o przelotną miłostkę. Gdyby niebaczny Albin nie był dał jej poznać, że kocha żonę i że do niej, do Malwiny, zmysły go jedynie pociągają, choć on sam sobie tego uczucia wyjaśnić nie umiał, byłaby może poprzestała na skokietowaniu go, pobawiła się nim czas jakiś, a potem z lekkiem sercem pożegnała, nie troszcząc się o to, co się potem z nim stanie. Gdyby tak był uczynił, gdyby był po męsku w obec niej się znalazł, i to mężczyzną bez głupiego sentymentalizmu, lecz tak, jak to ona lubiła, byłoby i dla niego i dla niej lepiej. Teraz jednak, gdy bezpośrednio potem, gdy jej wyznawał miłość gorącą, w tej samej chwili myślał o tamtej i nie był zdolny do żadnego dla Malwiny poświęcenia, obrażona jej duma domagała się czegoś więcej nad przelotną miłostkę, domagała się jego całego niepodzielnie.

W tem wszystkiem nie zastanawiała się wcale nad tem, że głównie Nina padnie ofiarą tej kabały; ale co ją to obchodziło? Wszakże to właśnie ta Nina stała się, może całkiem bezwiednie, przyczyną tego poniżenia, jakiego niedawno doznała od Albina? Czy miała ją oszczędzać? Za co i dlaczegoby ją miała oszczędzać? Sumienie wprawdzie ostrzegało ją przed tą grą niegodną i niebezpieczną, - niegodną, bo poświęcała ambicji swej szczęście dwojga ludzi, na drodze życia których stanęła jak cień; niebezpieczną dla niej przedewszystkiem, bo skandal, jakiby z tego całego stosunku mógł wyniknąć, ugodziłby w nią w pierwszym rzędzie, jako sprawczynię poważnienia młodego małżeństwa. Nad tem jednem rozważać zaczęła szczegółowiej. Przywodziła sobie na pamięć wiele podobnych spraw, które się na wielkim świecie wydarzały. Czy w istocie rozwikłanie tych spraw, hańbą lub lekceważeniem okrywało ich heroiny? W świecie, w którym się obracała, nie było tego przypadku. Oburzano się, co prawda, z początku na jednę lub drugą ze stron, zrywających małżeństwo, mówiono jakiś czas o tej lub o tym, którzy zerwanie spowodowali, ale w końcu godzono się z faktem dokonanym i zapatrywano na rzecz, jako zupełnie naturalną. Dlaczegożby ona miała się wycofać z podobnego położenia, które tak dogadzało i jej podrażnionej ambicji i słodkiemu zadowoleniu zemsty nad tym, który sądził, że mu się jako naiwna kochanka w ramiona rzuci, lub nad tą, która ją, królowę balów, lekceważyć śmiała. Tak zresztą pewną była swego zwycięstwa, że nie chciała się wycofać, ani myślała kapitulować. Raz nareszcie musiała skończyć ze sobą. Nudziło ją to życie bezcelowe, to ustawiczne lawirowanie i ten flirt z młodzieżą, od której wymagała, sama niewiedząc czego. Ale czyż ona miała się zadowolić czemś tak trywialnem, co zadowalało tysiące panien. Goniła całe życie za rozgłosem, i miałaby to wszystko zakończyć cichem, spokojnem oddaniem ręki pierwszemu lepszemu epuzerowi, których tylu o jej rękę i posag zabiegało? Rozgłos swój ukoronuje przynajmniej czemś takiem, co zadziwi cały ten świat, w którym żyła. Uśmiechało jej się to bardzo i temi marzeniami ukołysana, usnęła, lekce sobie ważąc świat cały i opinję oraz rozsądne uwagi surowej cioci, która w swej prostocie wierzyła święcie, że jej modlitwa odwróci złe myśli i naprawi serce Malwiny.

Podczas gdy tu dwie kobiety tak odmiennie nad jego losami się zastanawiały; podczas gdy Malwina usypiała z gotowym planem działania, tam Albin leżąc na swem łożu, wsparty na poduszkach, także rozmyślał nad całym przebiegiem tego niefortunnego, jak sądził w duchu, wieczora. Udało mu się uśpić podejrzenia Niny. Gdy wrócił, mając dość czasu przez drogę przyjść do równowagi, czekała na niego żona uśmiechnięta, wesoła, jak nigdy. Jak dziecko, cieszące się zabawką, Nina powitała go radosnem klaśnięciem w dłonie i choć parę godzin od jego odejścia minęło, zdawało się jej, że przyszedł dość wcześnie i była mu za to niewymownie wdzięczną. Pewną będąc, że wraca z teatru, zasypała go pytaniami to o treść sztuki, to o znajomych, których spotkał w teatrze

Nie było mu trudno odpowiedzieć na zapytanie, sztukę bowiem znał doskonale z poprzednich przedstawień; co się zaś znajomych tyczyło, stingował parę osób, jakie mu się na myśl nasunęły. Było mu to kłamstwo o tyle łatwiejszem, że wesołość Niny i jemu się udzieliła; a było mu tak przy niej dobrze, tak błogo, gdy śmiejąc się, rozcierać mu zaczęła ziębnięte ręce, iż niedawno przebyte u Malwiny godziny, wydawały mu się jakoś tak bardzo odległemi, jakby to nie było wcale dziś, ale kiedyś bardzo dawno. W najmilszej harmonji i zgodzie, wśród rozmowy i pieszczot swobodnych, ani się spostrzegli jak północ dobiegała. Albin ucałowawszy żonę na dobranoc, poszedł do swego pokoju i tu dopiero, gdy nie było już obok niego anioła opiekuńczego, Niny, przesuwać mu się poczęły przed oczyma obrazy niedawnych chwil, u Malwiny spędzonych.

Rozbierając się powoli, myślał nad tem wszystkiem; przywołał sobie na pamięć swój wybuch szalony, gdy jej namiętnie miłość wyznawał, następnie pieszczoty, jakiemi ją otoczył, siedząc tuż obok niej, słysząc bicie jej serca i patrząc w te oczy błyszczące. Uśmiechał się zadowolony ze siebie, ale w tej chwili chmura smutku przysłaniała te obrazy, gdy wspomniał na ostatnie jej słowa przy pożegnaniu.

Czyżby istotnie ona mogła żądać od niego, aby porzucił tę, która mu oddała kwiat swych uczuć dziewiczych? — Nigdyby się był nie spodziewał, ażeby Malwina podobne postawić mogła żądanie. Albin odganiał myśl taką od siebie, ale ona powracała uparta. Usiadł na łożu i rozważać począł nad następstwami swego szalonego kroku. Jakkolwiek nic się jeszcze nie stało, przestraszył się konsekwencji całego stosunku z Malwiną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NIECO O WZRUSZENIACH DRAMATYCZNYCH.

Pokolenia następują po pokoleniach, ludzie piszą pod coraz innemi hasłami, fizjognomja teatralnej publiczności nabrała sceptycznego wyrazu, a nad losem bohaterów, lub bohaterek, choćby w rodzaju „dwóch sierót“ d'Ennery'ego płaczą wciąż jeszcze generacje, które śmiać się ze wszystkiego przywykły. Zmieniają się formuły literackie, reformatorowie teatru wyrastają co dzień, jak grzyby po deszczu, a historja dwojga dzieci, rozłączonych na bruku paryskim zbrodniczą ręką i szukających się w ciągu ośmiu aktów, wśród najosobliwszych przygód, nie przestaje zajmować nawet u schyłku tego wieku, który tylu rzeczami naraz się zajmuje, że wygląda, jak gdyby go w rezultacie nic na serjo nie obchodziło.

Musi to mieć głębszą jakąś przyczynę. Czyżby jej szukać wypadło w tym ogólno-ludzkim, nieprzemijającym pierwiastku utworu, który mu w literaturze dłuższe życie zabezpiecza.

Zapewne, że tak jest do pewnego stopnia, a ten stopień z dziwną wyrazistością ujawnia się w różnicy nastroju publiczności, patrzącej dajmy na to: na „Dwóch urwiszów“ i na „Dwie sieroty“. Tam chłodna ciekawość wobec gładko funkcjunującego mechanizmu, tu sympatja serca dla ludzi i udział wyobraźni w wypadkach; tam fizyczna niemal sensacja bezdusznej roboty — tu wrażenia twórczego porywu. Możnaby tak snuć dalej uwagi na korzyść „Dwóch sierót“; lecz nie trzeba zbyt daleko zapędzać się w tym kierunku, choćby popychała ku temu wygodna, bo rozciągliwa teorja: że każdy, niższy gatunek literatury miewa swoje arcydzieła, — a natomiast byłoby może ciekawem sprawdzić na melodramacie d'Ennery'ego nowe teorje o naturze dramatycznych wzruszeń, według których człowiek przychodzi do teatru szukać obrazów nieszczęścia ludzkiego, bo widok cierpień sprawia mu rozkosz, odczuwaną pod wpływem szczątkowego usposobienia do okrucieństwa, pozostałego z barbarzyńskiej doby. Mimowoli przypomina się słynne *ça lui venait de loin* w romansie „La bête humaine“, gdzie Zola z całą powagą wyprowadzał kryminalną psychologję swego krwawego monomama od czasów jaskiniowych. A to przypomnienie tem jest zabawniejszem, że przychodzi na myśl wobec wywodów Emila Faguet'a, który, zabiwszy niegdyś śmiesznością romans Zoli, dziś przyklaskuje poglądom holenderskiego filozofa p. Herckenrata, upodobniającego na tej samej zasadzie wzruszenia dramatyczne, z temi, jakie obecnie jeszcze budzą walki byków, psów, lub kogutów.

Biedne sieroty, w jakiemże znalazłyście się towarzystwie i kto was w niem postawił!... krytyk subtelny, pełen finezji.

Ach ta subtelność, ta finezja, to p o g ł ę b i a n i e, ta obawa prostych odpowiedzi na proste zapytania!

Rzecz zaiste charakterystyczna. Saint Marc Girardin, krytyk starej daty, powiedział przed pięćdziesięciu laty prawdę jasną, jak słońce, że na tragedję, na dramat chodzimy po to, żeby litować się nad nieszczęściami ludzi, bo ich kochamy. Ale to była doba sympatji w literaturze; przyszła epoka antypatji i oto Faguet póty w tym kierunku p o g ł ę b i a ł, aż dotarł sam do wyśmianego przedtem „zwierzęcia w człowieku“ i odkrył fizjologiczne działanie nieszczęścia na widza, potrzebującego smacznej goryczy do strawienia obiadu. Nieszczęście to jest w teorji Fagueta czemś wyodrębnionem od przyczyn i skutków psychologicznych, od logiki faktów, od motywów charakterowych, od podstaw i ideałów etycznych. Jest, bo jest, istnieje samo przez się i dlatego tylko, żeby sprawić przyjemność rozpartemu w widowni filistrowi, a zwłaszcza żeby nie dopuścić teatru optymistycznego, przed którym wzdryga się francuski krytyk.

O co mu właściwie chodzi i czego się lęka? Wszakże sam na poparcie własnych wywodów, twierdzi z wielką śmiałością, że w literaturze świata nie ma obrazu szczęścia. Jeżeli zaś optymizmem nazywa kombinację możliwości: w naturze ludzkiej dobrych instynktów obok złych; w czynach ludzkich — szlachetnych pobudek obok samolubnych, w życiu ludzkiem — jasnych chwil obok ciemnych, to od takiej kombinacji nie obroni teatru choćby nawet usunął ze sceny optymizm, oparty na tendencji, że b y ć p o w i n n o. Pozostanie zawsze coś, co b y ć m o ż e, a wiary w to, nie wyrwie nikt z piersi człowieka, dla którego jest ona pewną, najprostszą formą ideału. I dziwić się tylko można, iż sceptyk zapomniał, że nawet jego sceptycyzm ma na to własną gotową formułę: *Tout arrive.*

Wszystko stać się może — więc zarówno dobre, jak złe, a że nigdy wyłącznie ani dobre, ani złe, o tem uczy życie, które jest zamądrem żeby miało być optymistą lub pesymistą. W tę stronę możliwości rzeczy dobrych wśród złych, uderzał zwykle melodramat, i tu tajemnica jego powodzenia, wobec każdej publiczności, która jakieś okno potrzebuje sobie zawsze otworzyć w kierunku ideału.

Co więcej, w tę stronę zdąża dziś nawet bardzo nowoczesna literatura. Czemże bowiem są zjawiające się w niej coraz częściej „sny“ i „baśnie“, jak nie owemi wzlotami w sfery idealne? Nazwa tych poetycznych rojeń niczego nie dowodzi, owszem świadczy, że duszy ludzkiej potrzeba bodaj baśni, bodaj snu o czemś lepszem, niż to, na co przez mgły pesymizmu patrzyć przywykła. Pod tym względem możnaby zarzucić krytykowi-pesymiście, że nie jest dość m o d e r n e...

W. B.

CICHA MIŁOŚĆ.

Wzdłuż grabowej alei cienistej
Idzie zwolna zakochanych dwoje;
Słońce z nieba sieje pył złocisty,
W złotym pyle krążą muszek roje.
Białe kwiecie opada z akacji,
Balsamiczne siejąc w okół wonie, —
Ona płynie, pełna dziwnej gracji,
W jego dłoni swe złożywszy dłonie.

Na jeziorze srebrzyste łabędzie
Cicho snują miłosną baśń złotą,
Biała róża tęczowy sen przędzie,
Na słowika czekając z tęsknotą.
Echa piosnką daleką zadrżały:
„Kocham... kocham...“ niesie wiatru wianie, —
W ludzkich sercach i w przyrodzie całej
Tętni słowo czarowne: kochanie.

Ni to iskry z serc wzajemnie biegą,
Zamieniając ziemię w raj uroczy:
Tak wymownie patrzą w oczy jego
Jej głębokie, szafirowe oczy.
Im do wyznań wyrazów nie trzeba;
Każde serca odczuwają drgnięcie, —
Park ten jest im, jak zakątek nieba,
Poświęcony przez dwu dusz zaklęcie.

Tam na dworze, na królewskim dworze
Wre i huczy gwar wielkiego świata!
Cudne damy jaśnieją jak zorze,
Zbiera plony miłostka skrzydlata!
Tam na dworze, na królewskim dworze
Tłum wybornych kawalerów fruwa, —
Serc tysiące faluje, jak morze,
Błyszczy chwilkę — i w cień się zasuwa!

Ona kwiatki wyjęła z warkocza:
Białą lilję z modrą niezabudką
I — nieśmiała, marząca, urocza
„Kocham ciebie!“ — szepnęła cichutko.
Potem główkę wsparła mu na ramię,
Płonąc szczęściem, jak wiosenne róże, —
Taka miłość, zaprawdę nie kłamie
I zwycięży wszystkie życia burze.

Biały dworek w lip szumiących wianku
Nad pałace milszy im z marmurów,
Nad assamble — wieczory na ganku
Pod gwiaździstem sklepieniem lazurów.
Żab na stawie rechotanie dźwięczne,
Jak muzyka serca ich kołysze,
Kiedy w noce dumają miesięczne
Patrząc w siebie... zasłuchani w ciszę...

Dwie postacie na końcu alei
Po maleńku drepcą, po maleńku,
„Ot, coś klei się z dziećmi, coś klei
Ślub za pasem, moja panuleńku!“
I jegomośc wąs srebrzysty głaska,
A jejmości źrenica się łzawi:
„Moja panno! zatańczym, gdy łaska!“
„Mój jegomość! — niech Bóg błogosławi!“

Or—ot

G. VERGA.

TYGRYSICA

Powieść.

(Przekład z włoskiego).

Ciąg dalszy.

— Pytam się pana i odpowiedz mi pan pod słowem honoru, czy kochałbyś mnie pan tak zawsze, gdybym była pańską kochanką? Chciałabym wiedzieć, cobyś pan uczynił, gdyby kobieta, któraby była piękniejszą odemnie, lub któraby się panu lepiej podobała, któraby wogóle miała tę zaletę, że, no... że nie byłaby mną, księżniczka czy służąca, uścisnęła panu ukradkiem rękę lub nie wstydziła się wśliznąć do pańskiej sypialni. Cobyś pan wtedy uczynił, La Ferlita?

Giorgio milczał, jak zdruzgotany.

— Tamten człowiek mówił mi, że go uszczęśliwiam — ciągnęła dalej — że mnie wiecznie kochać będzie, a że był pięknym i poetą, prawie jak pan, przeto mówił to wszystko w sposób ponętny. Całe nasze sąsiedztwo wiejskie mówiło o naszem głupstwie. Ale co mi na tem zależało? Czyniło mnie to szczęśliwą, iż składam mu dowód, że gotowa jestem poświęcić dla niego moją dobrą sławę, jak już poświęciłam mu moją dumę, mój wstręt, wszystko! Mój mąż mnie nie kocha i nie jest zazdrosny, ale jest nawskróś człowiekiem honoru, i pewnie mógłby się bić ze swym współzawodnikiem, gdyby wiedział, że to jest jego obowiązkiem. Jemu i mnie wpakowałby kulę w łeb — ale... był wtedy na Kaukazie. Po upływie pół roku musiałam się z nim połączyć w Petersburgu i przepędzić tam zimę. Myślałam, że umrę, a Dolski pisywał do mnie listy, które mnie przyprawiały o bezsenne i gorączkowe noce.

W rezultacie straciłam zupełnie głowę i podczas krótkiej nieobecności hrabiego wybrałam się w podróż; w długą podróż w czasie zimy, końmi, powozem i saniami, jak się zdarzyło, aby się znowu połączyć z moim ukochanym... z tym człowiekiem, u którego stóp bym się była czołgała, ja, która pogardziłam księciem, gdy leżał u nóg moich. Przybywszy niespodzianie, dowiedziałam się, że miał... rozrywkę i że inna, nie wiem co za jedna i nie chciałam wiedzieć, znieważyła pamięć o mnie i miłość moją. Nie widząc się z nim, nie czyniąc mu wyrzutów odjechałam. W czasie długiej podróży rozchorowałam się, a po przybyciu do Petersburga powiedziano mi, że mam suchoty.

A jednak człowiek ten kochał mnie na swój sposób, jak wszyscy. Uciekł z narażeniem własnego życia i pobiegł za mną jak szalony. Leżałam w gorączce w łóżku i słyszałam, jak płakał, błagał i tłukł głową o drzwi mej sypialni. W tej chwili nie mogłam przebaczyć temu człowiekowi, który mi przyniósł śmierć, że swej winy nie znosił przynajmniej z godnością. Błąd mój nie mógł już być usprawiedliwiony, stał się po prostu okropnym... wtedy — ukryła twarz w dłoniach — nie mogę panu powiedzieć nic więcej... Człowiek ten odebrał sobie życie, właśnie tak, jak pan to chcesz uczynić ...tak jak pan... Ja, jak pan widzisz, jeszcze nie umarłam.

Na jej zrozpaczonej twarzy osiadł wyraz, którego opisać niepodobna. Zdawała się być inną kobietą i mówiła głosem, którego Giorgio jeszcze nigdy nie słyszał.

— Widzisz pan, tak myślę o miłości i to jest przyczyna, dla której nie chciałam pana zobaczyć znowu, posławszy panu bilet... — rzekła bezdźwięcznym głosem.

— Powiedz mi pani przynajmniej jedno — zawołał Giorgio wzburzony w najwyższym stopniu — czy słowa, które pani napisałaś na bilecie, były wówczas prawdziwe?

— Tak — odparła, blednąc, ale patrząc mu pewnie w oczy.

— Dlaczegoż więc opowiedziałaś mi pani tę brzydką sprawę — zawołał wstając raptownie. — Czyż pani nie masz serca, litości? Ale co mi na tem zależy! Kocham panią! Gdyby ten człowiek był jeszcze przy życiu, zabiłbym, albo jego, albo panią... Widzi pani...

Nata, odwrócona do niego plecami, leżała głęboko w fotelu i nie odpowiedziała nic, podała mu tylko przez poręcz rękę. Pochwycił ją z gwałtownością i miał już zamiar okryć ją pocałunkami, gdy nagle Nata rzekła spokojnie:

— Szczęśliwej podróży, La Ferlita!

Rozdział VII.

Hrabina opłaciła swój spacer przy świetle księżyca w ogrodzie kilkoma dniami gorączki, a Giorgio, który przez ten czas nie pokazywał się u niej w domu, dowiedział się o tem w klubie, gdzie jadał z panami San Damiano i Collim.

Nie dała o sobie żadnego znaku życia, nie napisała nawet ani jednego wiersza, jak to czyniła w ostatnich czasach gdy go pragnęła widzieć, tak, że mógł z całą pewnością przypuszczać, iż to „szczęśliwej podróży“, którego mu życzyła podczas ostatniego wieczoru, brała dosłownie i sądzi, że on już jest w Lizbonie.

Pomimo to poszedł jeszcze tego samego wieczora, aby się dowiedzieć o stanie jej zdrowia, a podczas gdy służący mówił do niego, że hrabina ma się daleko lepiej, ukazała się ona sama, ubrana jak do wyjścia, z płaszczem na ramionach.

Spostrzegłszy Giorgia, podała mu rękę uśmiechnięta, tak jak gdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło.

— Jest mi daleko lepiej, dziękuję — mówiła — Chcesz mi pan towarzyszyć, jeżeli nie masz nic lepszego do roboty? — ciągnęła dalej, gdy Giorgio wybąknął parę zdawkowych frazesów.

Od Porta San Gallo aż do teatru della Pergola zamienili z sobą tylko kilka słów.

Giorgio tłómaczył się, jak umiał, iż nie przychodził, a ona opowiadała mu, że jej niedyspozycja była nieznaczną, ale że się wściekle, okropnie nudziła.

Na pozór nie było między nimi ani cienia zakłopotania, rozmowa jednak urywała się co chwila, a na każdym skręcie ulicy wychylali jednocześnie głowy z okien powozu, aby zobaczyć, czy jeszcze nie przyjechali na miejsce.

Nata zawiązywała i rozwiązywała wstążki swego kaptura, a szelest jedwabiu, użytego na podszewkę miał w sobie coś

tak żywego w ciemności, że zakochanemu wnikało to w najskrytsze fibry serca.

Gdy przechodzili przez westybul, uniewinniał się Giorgio, że nie jest we fraku i chciał ją opuścić na progu loży.

— To nic nie szkodzi — odparła. — Zostań pan; usiądziesz pan w kącie i będziemy mogli rozmawiać.

Po tych słowach rzuciła płaszcz na ręce Giorgia i doszła aż do balustrady loży. Ręce jej i ramiona były odkryte i zdawały się drżeć wskutek dotknięcia powietrza. We włosach miała kwiaty, a oczy jej świeciły się w podmalowanej trochę, ale zawsze bladej twarzy.

Zanim usiadła, przebiegła z lornetką przy oczach po całem świetnem zgromadzeniu, przyczem jedną rękę oparła na aksamitnem obiciu balustrady i witała znajomych lekkiem skinieniem głowy. Następnie siadła i trochę zsuniętą na piersi suknię przyprowadziła do porządku za pomocą nieznacznego poruszenia ramionami.

La Ferlita był zupełnie zapomniany.

Podczas dwóch pierwszych aktów zajmowała się tylko publicznością, sama sobą i sztuką.

Giorgio wyszedł w antrakcie i kupił cukierków, a gdy powrócił, znalazł ją w tej samej pozycji w jakiej ją opuścił: przysłuchiwała się z zajęciem operze.

Skinieniem głowy podziękowała mu, ale pudełeczka nie tknęła: do Giorgia nie zwróciła się ani z jednem słowem.

— Zrobiłeś pan dobrze, że nie pojechałeś, nie pożegnawszy się ze mną — rzekła nareszcie, jednakowoż nie patrząc na niego. — Byłoby mi to bardzo przykro, gdybym się jeszcze raz nie zobaczyła z panem.

— Proszę jeszcze raz o przebaczenie. Dopiero dzisiaj dowiedziałem się, że pani byłaś chorą

— Tak, byłam trochę cierpiącą. Ale rozstajemy się, jak przyjaciele, wszak prawda? — dodała po chwili i podała mu rękę.

— A zobaczymy się znowu jako jeszcze lepsi przyjaciele, mam nadzieję.

Nata odpowiedziała mu żywem silnem uściśnieniem ręki, cofnęła jednak prędko dłoń i zaczęła się przypatrywać przeciwległej loży. Następnie wyciągnęła rękę z lornetką na balustradzie i oparła się na fotelu. Napozór przedstawienie zajęło całą jej uwagę, powoli jednak zaczęły w jej wielkich źrenicach igrać prądy jakiegoś tajemniczego fluidum i przyćmiewały je, jakby ją niepokoiły.

Stopniowo oczy stawały się nieruchome i powiększały się, usta nabierały sztywnego wyrazu i wydawało się, że twarz jej wykrzywia się jakimś bólem. Głowę oparła o ścianę loży, tak, że schowała ją zupełnie w cieniu, a potem nie poruszała się wcale, tylko koronki, które okrywały jej pierś, falowały nieustannie.

Giorgio zaledwie śmiał oddychać i unikał starannie spojrzeć na nią. Nareszcie zaniepokoiło go to długie milczenie i ta nieruchomość; pochylił się naprzód, aby ją zapytać, co jej brakuje, zobaczył jednak, że oczy miała zamknięte, a wydawało mu się, że w cieniu jej długich rzęs błyszczały dwie łzy. Na ten widok czuł, jak fala nieprzeczuwanej goryczy i rozkoszy przypłynęła mu do serca i ścisnęła mu krtań. Były to te same łzy na tej nieprzeniknionej twarzy, co niegdyś, uparte, gorzkie łzy, pochodzące z głębi serca, na tej twarzy, która pozwalała tylko przeczuwać wewnętrzną walkę i gniew, któryby wybuchnął, gdyby ją zaskoczył niespodzianie.

W parterze i w lożach zasypano duet z Ruy-Blasa oklaskami.

Nata drgnęła, powstała szybko z wzrokiem źle ukrywanego lekceważenia i oświadczyła lekko stłumionym głosem, iż chce wracać do domu.

Giorgio pomagał jej w głębi loży włożyć płaszcz, a ona pozwalała na to spokojnie, ale tam, w ciemności prawie, uchwyciła go nagle za skronie i blednąc, zdecydowana, poważna, ze świecącemi oczyma przycisnęła swe, wilgotne, gorące usta do jego ust.

Giorgio, jakby tracąc przytomność, uchwycił ją w ramiona. Położyła mu ręce na piersi i wyprostowała się, podczas gdy oczy jej utkwiły w jego oczach, nie widząc go. Potem łagodnie oderwała się od niego i opuściła lożę.

Chwiejąc się, oszołomiony, z zapartym oddechem wskutek tego gwałtownego wybuchu namiętności, która nagle rozszalała się jak burza, szedł za nią, podczas gdy szybko, otulona w płaszcz, przebiegała westybul.

W czasie powrotu do domu nie otworzyła ust, lecz wcisnęła się w ciemny kąt powozu. Od czasu do czasu przebiegało ją drżenie, a gdy latarnie na rogach ulic rzucały przelotnie światło do powozu, widział Giorgio na chwilę te świecące oczy, spoczywające na nim z wyrazem nieugiętości, a wzrok ten na tej białej i sztywnej twarzy mógł prawie wzniecić obawę.

Nareszcie La Ferlita uległ jakiemuś wewnętrznemu naciskowi i uchwycił żywo jej rękę, która z początku odpowiadała nerwowo na jego uścisk, przyczem czuł febryczną gorączkę przez rękawiczkę; potem ręka ta cofnęła się szorstko.

— Co pani jest? — zapytał.

— Gardzę sobą! — odparła bezdźwięcznym głosem.

W tej chwili powóz się zatrzymał i Nata wysiadła. Milcząc i nie patrząc na niego, podała mu rękę. Dopiero, gdy poczuła uścisk jego dłoni, podniosła oczy zrozpaczone błagalnie ku niemu, ale tylko na sekundę. Potem skierowała je na latarnie powozu i wzrok jej stał się znowu tym samym zimnym, stalowym, który znał tak doskonale.

— Nie kocham pana, nie, wiedz pan o tem! — wyrzuciła z siebie głosem ostrym, ochrypłym.

Po tych słowach i po tem spojrzeniu zostawiła go na trotuarze i oddaliła się, nie rzekłszy ani słowa.

*

W domu wicehrabiego de Rancy było przyjęcie, a gdy wicehrabina ujrzała wchodzącego tak późno i z takim pomięszanym wzrokiem, poszła naprzeciw niego zakłopotana.

— Co się stało? — zapytała.

— Nic. Jutro odjeżdżam do Lizbony i przyszedłem się pożegnać.

— Jakże pan blado wygląda!

— To z zimna. Być może także, iż za prędko szedłem po schodach na górę. Ale jakież tu mnóstwo ludzi dziś wieczorem!

— Widziałeś pan dzisiaj hrabinę?

— Byłem z nią razem w Pergoli.

— A zatem już jej lepiej?

— Daleko lepiej.

— A pan... czy pan pojedziesz naprawdę?

— Spakowałem już kufry.

— Kochany przyjacielu! Sądząc z pańskiego wyglądu, to zdaje mi się, że pan je znowu rozpakujesz albo też spóźnisz się na pociąg.

— A mój obowiązek? Moja karjera? Mój minister? Gdyby się to na nieszczęście stało, w takim razie proszę pani o wyświadczenie mi prawdziwie przyjacielskiej przysługi: każ mnie pani przez karabinierów odprowadzić do granicy — choćby w kaftanie warjata.

— Jeżeli rzeczy tak stoją, to tem lepiej — odparła wicehrabina pół żartem pół serjo i podała mu rękę. — A zatem, szczęśliwej podróży i do widzenia.

— Więc pan w istocie nareszcie odjeżdża? — zapytał wicehrabia, który przystąpił w tej chwili. — W takim razie, pozwól pan sobie złożyć życzenia, przedewszystkiem co do awansu, a potem co do stu innych rzeczy. Czynisz pan bardzo dobrze, ze odjeżdżasz w tej chwili — ciągnął dalej, biorąc Giorgia pod ramię i prowadząc go przez sale. — Jesteś pan kochankiem hrabiny, o tem opowiada cała Florencja, a to przecież wielkie szczęście, przeciwko temu nie mam nic. Ale jestto także wielkiem szczęściem, jeżeli zawczasu można wszystkiemu kres położyć. Hrabia, jej mąż, może przybyć lada dzień, a chociaż ze spotkania się z nim nie wielebyś pan sobie robił, wiesz pan przecież, że w naszem położeniu trzeba mieć pewne względy. Historja tego rodzaju z osobistością jak ja, nie zaszkodziłaby panu ani trochę — przeciwnie... Ale hrabia jest jednym z rozpieszczonych ulubieńców dworu carskiego, a pan nie jesteś jeszcze ambasadorem, mój kochany. Zresztą, czegoż pan możesz żądać więcej? W Lizbonie także są piękne kobiety. Coprawda hrabina może się nie obawiać porównania, najmniej od takiego zakochanego człowieka, jakim pan jesteś; to rzecz gustu właśnie. — Chodźmy tutaj, zapalimy sobie cygara. — Słowem, można być w niej zakochanym, to rozumiem. Jest to szczególna kobieta, same nerwy, oślepiająca jak przynęta na skowronki, a co jest najprzyjemniejszem i najwięcej zajmującem to to, iż wstrząsa człowiekiem, szarpie nim, tak, że w stosunku z nią posiada się uczucie, jak gdyby się siedziało w łaźni. Wiem, co to znaczy, kochać taką kobietę; teraz, gdy niema tu wice-hrabiny, można przecież o tem mówić. Można przytem stracić głowę i w tem właśnie leży niebezpieczeństwo, mój przyjacielu. Nosimy głowy na karku, aby załatwiać nasze interesy i bronić ich, ale nie po to, aby walić do tych głów z pistoletu, jak ten biedaczysko Dolski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

„Krzyż". Pod tym tytułem okazało się wczoraj we Lwowie nowe pismo dla ludu, wydawane staraniem partji katolickiej.

Teatr letni w Krakowie wystawił utwór Adama Staszczyka p. t. „Cechmistrz" nader prawdziwy i pełen elementu rodzajowego, pełen scen wziętych wprost z obserwacji życia klas pracujących.

Jan Wortmann, rzeźbiarz holenderski, który przed rokiem zaledwie ukończył ze złotym medalem akademję sztuki w Amsterdamie i otrzymał „prix de Rome" t. j. środki do dalszego kształcenia się w Rzymie, zmarł w tych dniach tamże, w 22. r. życia. Przed kilku tygodniami Wortmann ożenił się. Śmierć nastąpiła wskutek niezdrowego dla cudzoziemców klimatu.

Przytułek dla muzyków ufundował Verdi w Medjolanie.

„Boska miłość". Pod tym tytułem napisał znany autor Alfred Nossig dramat, który będzie grany naprzód po niemiecku w pierwszych dniach października w teatrze Rajmunda w Wiedniu. Główną rolę objęła artystka Barsescu. Rzecz dzieje się we Włoszech w epoce odrodzenia, a obraca się około wolnej miłości. Sztuka ta zrobiła wrażenie w wiedeńskim świecie literackim.

Nowe pisma. P. Ludwik Fiszer, księgarz w Łodzi, otrzymał zezwolenie na wydawanie tygodnika ilustrowanego p. t. „Ognisko rodzinne". W Krakowie zaczęło wychodzić czasopismo poświęcone sprawom ogrodnictwa p. t. „Ogrodnictwo".

W Wodewilu warszawskim przedstawiono po raz pierwszy farsę ze śpiewami i tańcami C. Danielewskiego p. t. „Mama-Mimi". Sztukę przyjęto przychylnie. W tych dniach zaś wystawiony będzie w tym teatrze dramat Teodora Jeske Choińskiego p. t. „Sara Weisblatt".

Nowe książki. W ostatnich dniach opuściły prasy drukarskie: Stanisław Koszulski: „Z bólów duszy" Warszawa 1898; Marjan z nad Dniepru: „Dzieje literatury ojczystej dla młodzieży polskiej" Kraków 1898; K. Kozierowski: „Za wiarę ojców" Lwów 1898; Dr. Seweryn Robiński: „Operiren oder Nichtoperiren bei Krebserkrankungen" Berlin 1898; Kazimierz Rojan: „Doborowe otoczenie" powieść. Warszawa 1898; Jan Stanisław Wierzbicki: „Obrazki", „Zbiór poezyj" Mińsk gubernjalny 1898.